

Bielany Pany

Pamiętam, że życie było wtedy czymś równie poważnym jak teraz.

Joe Brainard *I remember*, tłum. Krzysztof Zabłocki

Nasze podwórko miało kosę z Przybyszewskiego, choć nikt właściwie nie wiedział dlaczego. Tak już po prostu było: jak gdyby nienawiść pomiędzy tymi dwoma terytoriami wyrosła jeszcze razem z blokami, które zbudowano w latach pięćdziesiątych, przemieniając zapadłą wieś w nową dzielnicę Warszawy. Jak gdyby Żeromski z Przybyszewskim, czy to z powodów literackich, czy osobistych, po prostu nie mieli nigdy szansy się dogadać, nie ta poetyka i już. Pewne rzeczy trzeba akceptować bez zbędnych pytań, tak jak my przyjmowaliśmy kosę z Przybyszewskiego. I to, że latem chodziło się na wysypisko. Że najpierw jesteś młokosem, którego walą po głowie, a potem nagle dorastasz do motorynki. Że dziewczyny nie lubią frajerów. I że Bielany Pany.

Albercik był synem dozorczyńni, a dozorczyńni czatowała na grających w nogę i zabierała piłki. Mówili, że dla synalka, choć nikt nigdy nie widział go kopiącego. Kogo to jednak obchodziło, skoro słowo się rzekło i odtąd nikt już nie mógł mieć z Albercikiem nic wspólnego? Jego pochodzenie rodzinne czyniło z niego posiadacza niezliczonej liczby piłek, którymi nie miał z kim grać. Tylko w ten sposób mogliśmy się zemścić za kolejną zagrabioną własność. Czy to Albercika w ogóle obchodziło, tym nikt się już nie przejmował, ważne, że kara została wymierzona. Jej potencjał resocjalizacyjno-upadający był sprawą drugorzędną.

Kiedy jedną siostra Albercika, Klaudia, zaczęła chodzić z gościem z Przybyszewskiego, przestało już być tak miło i sympatycznie. Trzeba było pokazać wszystkim, czy chcieli patrzeć, czy nie. A że z popiołów zimy rozkwitało właśnie najpiękniejsze przedwiośnie, chcieliśmy rozdziobać tych z Przybyszewskiego jak kruki, gawrony, wróble. Werble. No właśnie werbli nam zabrakło niestety. W każdym razie mieliśmy na to wystarczająco dużo sił, skoro wiosna, jak wiadomo, napędza pozytywnie. I nic to, że po kilku cieplejszych dniach akurat znowu spadł śnieg. Ale był to już śnieg przedwiosenny, jak chcieliśmy wierzyć. A potem latem jeździć motorynką na wysypisko.

Sprawa była poważna, dlatego zaczęliśmy zbierać chłopaków. Nie żeby ktokolwiek przejmował się Klaudią, chyba nikt nawet nigdy z nią nie rozmawiał. Niby z piłek nie korzystała, ale i tak to zawsze córka dozorczyńni, a z taką lepiej nie zaczynać. Ostatecznie nie ma się co dziwić, że znalazła sobie frajera z Przybyszewskiego, co jednak nie zmieniało faktu, że wszystkich nas zdradziła i że była po prostu głupią krową.

Bo – jak mawiał mój dziadek powstaniec, a ja nie wiedziałem jeszcze wtedy, o co mu chodzi – faktów, nawet tych sfabrykowanych, stworzonych naprędce z sądów wartościujących, nie da się tak łatwo zmienić.

Trzy dni szykowaliśmy sprzęt. Kije bejsbolowe, grubsze gałęzie, kamienie. Krzysiu miał nawet kastet, zabrał ojczymowi. Ojczym siedział w więzieniu, więc był mu chwilowo niepotrzebny. Zazdrościliśmy mu, bo do końca wyroku starego mógł robić, co chciał. Nas trzymano krótko. Skórzane pasy wisiały na drzwiach skrzypiących szaf, strzegąc zasad, porządku i szacunku dla starszych. Coś jednak ewidentnie nie działało, bo zamiast respektu rosły w nas fantazje na temat ojczulków odwiedzanych raz w miesiącu w areszcie na Białoleńce. Rozkwitały nam w głowach jak pelargonie na babcinych balkonach, nie pozostawiając miejsca na nic innego. Pewnie dlatego wciąż przynosiliśmy ze szkoły marne stopnie, przez co cykl kary i wymaginowanej zemsty rozpoczął się na nowo jak sansara.

Walka miała być na śmierć i życie. Pozytywizmu z modernizmem. Kto mimo przelanym szkół i męczącej dwuzmianowości choć trochę się uczył, ten wiedział. Kto nie, temu i tak było wszystko jedno.

Arsenał zrobiliśmy w piwnicy. Nie wiedzieliśmy tylko, jak to wszystko przenieść, jak zacząć i w ogóle. Nie mieliśmy przywódcy, planu, a gdyby tak usiąść i pomyśleć, nawet jasno wytyczonego celu. Po prostu chcieliśmy rozróbny, ot co! Klaudia obściskiwiała się ze swoim lowelasem niczego nieświadoma. Już niedługo, myśleliśmy, wyobrażając sobie, jak rzędzie jej mina na widok jej kochasia uciekającego przez przejście dla pieszych obok sklepu spożywczego ELKA. Kiedy uświadomi sobie, że podwórka, nawet tego niekochanego, nie można w żadnym wypadku zdradzić. Jej matka wypruwała sobie żyły, kopiąc co roku sadzonki na obrzeżach zadeptywanego trawnika. Pozostawiła litry potu na zmywanych co drugi dzień, zasikiwanych przez psy klatkach schodowych, a z myślą o dobrostanie szyb na parterach naszych bloków – tak, musieliśmy to w skrytości ducha przyznać – skonfiskowała tysiące piłek. Taka była. Gdzie ona je trzymała, skoro synalek nie grał? Ile miejsca w swoim małym mieszkaniu ze ślepą kuchnią musiała poświęcić? I na własnym łonie wyhodowała zmięję, która za nic miała nasze plemienne barwy, nasze literackie genealogie, naszą podwórkową betonową fontannę, niedziałającą od lat, ale wierną jak rzeka. Nie mogliśmy tego tak zostawić.

W końcu na dowódcę wybraliśmy Arka. Miał trzech starszych braci, musiał sobie radzić, nadawał się. Poza tym w razie czego mogliśmy liczyć na wsparcie. Tego, czego obawiałem się najbardziej, ale nie mogłem dać po sobie poznać. Na tchórzostwo nie było u nas miejsca.

– Wpierdolimy im tak, że się nie pozbierają – powiedział Franek, który kulał na jedną nogę, i to dodało nam otuchy. Ruszyliśmy na Przybyszewskiego.

Nie było daleko. Przechodziło się przez pasy obok sklepu spożywczego ELKA. Jego właściciel przystawiał się do matki Piotrka, przez co ten chciał wymusić na nas konsumencki bojkot. Nie znalazł jednak poparcia. W ELCE mieli absolutnie wszystko,

od gum balonowych po tonik Kinley, a to obchodziło nas nieco bardziej niż życie intymne matki Piotrka, która nie była taka znowu nieskazitelna. Teraz jednak szliśmy wszyscy razem, w zwartym szyku, zatrzymując się na czerwonym przed zebra, z kieszeniami wypchanymi kamieniami, z kijami i patykami w rękach, Krzysiu najbardziej profesjonalnie, bo z kastetem ojczyma. Szliśmy na tych z Przybyszewskiego, żeby sobie nie wyobrażali (czego mieli sobie nie wyobrażać, mógłby ktoś zapytać, choć lepiej nie, bo my za nic nie byłibyśmy w stanie powiedzieć). W końcu zaświeciło się zielone.

Już z ulicy było widać, że nikogo nie ma. Czyżbyśmy źle wybrali porę? Zazwyczaj wczesnym wieczorem podwórko kipiało od ludzi jak pełne kozuchów przegotowane mleko. Oblegali ławki, huśtawki i karuzelę. Teraz na skraju brudnej piaskownicy siedziały tylko Aśka z Magdą i przeglądały od niechcenia „Bravo Girl”.

– Gdzie są wszyscy? – zapytał kulawy Franek.

– Poszli się bić z Reymonta – odpowiedziała Aśka, podnosząc mętny wzrok znad *foto story*. – Skrzyknęli się z tymi z Broniewskiego.

Wtedy dopiero przypomniałem sobie, że chłopaki z Kasprowicza rzeczywiście coś o tym ostatnio przebąkaliwali.

– A co z Andersena? – zapytał przytomnie Arek. Słusznie wybraliśmy go na dowódcę.

– Andersena jest bezstronne. Siedzą pewnie z Szekspira na Starej Baśni.

Z tyłu za nami zaskrzypiały ciężkie drzwi klatki schodowej. To Klaudia wychodziła od swojego chłopaka. Nawet na nas nie spojrzała. Dopiero teraz zwróciłem uwagę, jak prosto trzyma plecy, jak gdyby pod zimowym płaszczem łopatki spinała jej niewidzialna agrafka. Miała zgrabne nogi i nie wykoślawiała ich jak większość dziewczyn, których chód przypominał człapanie kaczki. Klaudia sunęła, jakby ulica była lodowiskiem, a ona szycowała się właśnie do podwójnego axla. Przeszła na zielonym przez zebra i skręciła w lewo, by po chwili zniknąć za drzwiami ELKI. Gapiliśmy się za nią, obciążeni wypychającymi nam kieszenie kamieniami i jakimś dziwnym uczuciem, które nie do końca dawało się zamknąć w słowie *porażka*. Gapiliśmy się za nią, wyobrażając sobie piruety, które kręci między półkami, i zastanawiając się w ciszy, na co z szerokiej oferty sklepu ELKA Klaudia zdecyduje się tym razem.

POD
PÓŁNOCNYM
NIEBEM

Jarostawowi Iwaszkiewiczowi,
świeciemu znawcy i mistrzowi
literatur skandynawskiej, a szczególnie
dzwiskiej,
oświeciła się przedać tę skromną pracę
z wyrazami szczerego podziwu
dla jego wspaniałej odwagi
i serdecznych dla niego uczuć.

Aleksander Rogalski.

Przemi, dnia 24/XI 69.

Jarostawowi
na pamiątkę wstąpienia
w „Pikadone” i stacji pociągowej
Antonimskiej.

Dedykacje dla Jarosława Iwaszkiewicza, Muzeum im. A. i J. Iwaszkiewiczów w Stawisku:
Aleksandra Rogalskiego, Antoniego Słonimskiego